

JACEK KUROWSKI



MEDAL BĘDZIE MÓJ

DROGA NA SZCZYT
POLSKICH LEKKOATLETÓW



JACEK KUROWSKI

**MEDAL
BĘDZIE MÓJ**

**DROGA NA SZCZYT
POLSKICH LEKKOATLETÓW**



OTWARTE

KRAKÓW 2021

Copyright © by Jacek Kurowski

Współpraca: Mariusz Jankowski

Opieka redakcyjna: Ewelina Tondys

Redakcja tekstu: Klaudia Kościelska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Fotoedycja: Arletta Kacprzak

Przygotowanie wkładki do druku: Pracownia 12A

Projekt okładki: Magdalena Palej

ISBN 978-83-8135-053-2



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Moim Rodzicom

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA

SEBASTIAN CHMARA 9

OD AUTORA 15

MAŁA MI

MÓWI O SOBIE JOANNA FIODOROW 19

ŻYCIE NA PÓŁ KARTKI

SPISUJE MICHAŁ HARATYK 87

CHCĘ JUŻ BIEGAĆ

WYRYWA SIĘ ANNA KIELBASIŃSKA 135

TYCZKA NIE WYBACZA

OSTRZEGA PAWEŁ WOJCIECHOWSKI 181

DZIEWCZYNA Z TATUAŻEM

TO EWA SWOBODA 235

KLAUN W CYRKU

ŻARTUJE PIOTR LISEK 269

ŹRÓDŁA FOTOGRAFII 318

PRZEDMOWA

Sebastian Chmara

*Mistrz świata i Europy w wieloboju,
wiceprezes PZLA, ekspert TVP Sport*

Rok olimpijski 2020 zaczął się zwyczajnie, spokojnie, nawet leniwie. Początki roku dla ryerczy królowej sportu są zwykle podobne – kilka dni odpoczynku, gwarantowanych przez święta czy zabawy noworoczne. Dają one chwilę wytchnienia po pierwszym okresie przygotowań, który z reguły rozpoczyna się z końcem października roku poprzedniego. Styczeń to powrót do maksymalnych prędkości i pełnych technik, zwłaszcza dla zamierzających podjąć walkę pod dachem. Lekkoatletyczne halowe mistrzostwa świata w Nankinie, zaplanowane na początek marca 2020 roku, miały być poważnym sprawdzianem przed zbliżającymi się igrzyskami olimpijskimi. Rzecz jasna, ci, którzy rzucają młotem, oszczepem czy dyskiem, na początku roku są spokojniejsi, ich czas na poważną weryfikację przyjdzie bowiem nieco później. Są tacy, którzy świadomie zrezygnowali ze startów w hali, aby nabrać nieco sił i podleczyć kontuzje, wszak igrzyska i dobry na nich występ to marzenie każdego sportowca bez wyjątku,

a dróg prowadzących do celu jest, jak zwykle, wiele. Problemy i troski wciąż te same, strach przed urazem, utrzymanie kontraktu, dobrze zaplanowany cykl startów – to właściwie sportowy standard.

Sezon halowy ruszył, karuzela lekkoatletyczna zaczęła się kręcić, pierwsze sukcesy, rozczarowania, jednym słowem: nuda. Każdego roku bywało dokładnie tak samo. Tym razem po spokojnym początku pojawiła się pierwsza zaskakująca i niezrozumiała, wówczas chyba dla nikogo, informacja. Chiny z powodu epidemii COVID-19 odwołały halowe mistrzostwa świata, a IAAF przełożyła je na kolejny rok. Lekkoatletyczny świat zamarł, sport bez wyzwań, celów i barier do pokonania nie istnieje. Aby wejść na szczyt, sportowcy muszą mieć wiele specjalnych cech, i to oczywiście nic odkrywczego, choć uważam, że jedna z nich jest szczególnie ważna. Umiejętność wyciągania wniosków z porażek i szukania w nich motywacji, niezależnie od tego, czy ich przyczyna tkwiła w samym zawodniku, czy przyszła nagle z zewnątrz, sprawia, że każdego dnia jest się skuteczniejszym. Bez tej cechy żaden mistrz nie wdrapałby się na szczyt, sport bowiem to przede wszystkim seria porażek i upadków, która ostatecznie na ów szczyt prowadzi.

W połowie lutego 2020 roku już prawie nikt o Nankinie nie pamiętał, lekkoatletyka pędziła naprzód, sportowcy wyznaczyli sobie nowe cele i zmotywowani ponownie ruszyli do walki. Sezon halowy rozkręcił się na dobre. Halowy rekord Polski Justyny Święty-Ersetic i rekord świata w skoku o tyczce Armanda Duplantisa podczas IAAF World Tour w Toruniu były dowodem na to, że na dworze królowej sportu dzieje się dobrze. Nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, że za moment uderzy w nas piorun,

przed którym nie jest w stanie uciec nawet gość z szybkością Usaina Bolta. COVID-19, wówczas jedynie hasło coraz częściej pojawiające się w mediach, specjalnie nikogo nie przerażał, zwłaszcza że z Azji raz po raz docierały podobne komunikaty. W dalszym ciągu wszyscy podziwiali latającego w przestworzach Duplantisa, który skakał, jakby nie ważył nic. Pasjonując się Szwedem, martwiłem się nieco o Piotrkę Liska, bo Mr. Fox czekał na drobny zabieg. Brakowało w hali Ewy Swobody, która tym razem zrezygnowała ze startów. Systematycznie analizowałem wyniki Ani Kielbasińskiej, Pawła Wojciechowskiego i Michała Haratyka. Jak zwykle sinusoida, raz lepiej, raz gorzej – ot sport. Mimo że o tej porze roku starty w hali przysyłają wszystko inne, nie sposób nie myśleć o rzutach długich, które pozornie uśpione czekają cierpliwie na swój czas. Joasia Fiodorow po niesamowitym sezonie 2019 szykowała się, choć nie bez przeszkód, do olimpijskiego sezonu.

Lekkoatletyczni medaliści, to oczywiście, różnią się od siebie, każdy jest inny, każdy ma swoje tajemnice i swoje pragnienia, ale wszyscy mają ten sam cel i jedno marzenie. Mają swoje sposoby na sukces i swoje ścieżki, którymi podążają. Wiedzą, jak je zabezpieczyć, aby skutecznie doprowadziły do celu, przecież nieraz im się udawało. Pomimo różnego wieku mają ogromne doświadczenie oraz świadomość, czego w treningu – i być może w życiu – unikać, aby nie stanąć gdzieś pośrodku drogi, bez pomysłu, co dalej. Zdawało się, że nikt i nic nie jest w stanie ich zaskoczyć. W pewnym momencie kariery większość sportowców ma za sobą już wszystko – sukcesy, porażki, kontuzje, chwile wątplenia czy uderzenia wody sodowej. Zawsze są na takie sytuacje gotowi, wiedzą, jak z nich wybrnąć – taki sportowy instynkt przetrwania, bez którego nie ma mowy

o sukcesie. A tu niespodzianka: pandemia, lockdown, zamknięte stadiony, hale, pływalnie i siłownie, nawet las zamknięty. Siedzimy w domu i co dalej, nie wiadomo. Z dwóch tygodni zrobiły się kolejne, igrzyska za pasem, a związki sportowe zaczęły cofać ludzi ze zgrupowań.

Takiego zamieszania nie było nigdy i nikt na coś takiego nie był przygotowany. Można było krzyczeć i protestować, ale niewidoczny wróg po cichu coraz bardziej rozwijał skrzydła. Sportowe federacje przekładały terminy imprez i szukały sposobu na ratowanie sytuacji, aż w pewnym momencie okazało się, że ratunku już nie ma. Przełożono igrzyska olimpijskie w Tokio. W sportowym świecie nastąpiła cisza. Brak celu zabija motywację, a bez motywacji wszystko, co do tej pory miało sens, przestało mieć znaczenie. Każdy zadawał sobie wciąż to samo pytanie: co dalej? A dalej było już tylko gorzej, po igrzyskach odwołano lekkoatletyczne mistrzostwa Europy, a co najgorsze, sportowcy nie mieli gdzie trenować. Konkurencje techniczne bez techniki czy sprint bez tartanu to jak sportowiec bez kibiców – w pojedynkę nie istnieją. Takiej sytuacji sport nigdy wcześniej nie doświadczył. Owszem, w czasie wojny igrzyska się nie odbyły, a w 1984 roku do Los Angeles blok wschodni, między innymi z powodu rzekomego smogu, na zawody przyjaźni się nie wybrał. Ale to z pewnością nie to samo. Wówczas trenowano bez przeszkód, a jedynym ograniczeniem rywalizacji sportowej był niepełny skład uczestników. Teraz, w sytuacji bez precedensu, wobec braku procedur czy sprawdzonych metod, wszyscy zaczęli szukać rozwiązań. Swoje pomysły wdrażał rząd, próbowali coś robić związki sportowe, a i sami zawodnicy nie czekali beczynnienie, bo brak treningu jest w pewnym okresie kariery sportowej niestety nie do odrobienia.

Okazało się, że nasi zawodnicy oprócz sportowych zdolności posiadli także inne – od projektowych po budowlane. Taka przerwa to też jak przedłużone wakacje, wszystko można nadrobić. Wyleczyć stare kontuzje, a do treningu wprowadzić to, z czym nigdy wcześniej się nie zdążyło. I tak się stało. Jedno było pewne – każdy zwolnił, pomyślał, wziął głębszy oddech. Bez wątpienia był to czas na refleksję. Przyglądając się sportowym herosom, czytając z nimi wywiady i słuchając telewizyjnych wypowiedzi, możemy sądzić, że w ich życiu nie ma miejsca na słabości, zadumę czy zwątpienie. Zdawać się może, że każdy z nich to zaprogramowana maszyna wykonująca morderczą pracę, która nie zawsze kończy się sukcesem, ale bez niej nie ma mowy o niczym. Czy tak jest? Czy olimpijczycy, medaliści mistrzostw świata i Europy mogą mieć jakiegokolwiek słabości? Powiem szczerze, że sam chciałbym to wiedzieć.

Osobiście znam całą szóstkę bohaterów tej książki. Jednych lepiej, innych gorzej, chociażby ze względu na wiek. Kiedy kończyłem swoją karierę sportową, Ewa Swoboda miała zaledwie kilka lat. Pawła Wojciechowskiego znam najlepiej, tak jak ja jest bydgoszczaninem, a że karierę sportową zaczynał w przedszkolu, to parę lat spędziliśmy na wspólnych treningach. Piotrek Lisek – prawie jak Paweł, od zawsze był. Może mam takie wrażenie dlatego, że skok o tyczce zawsze był mi bliski. Z Anią i Asią znamy się dobrze, ich sportową stronę znam doskonale, ale czy coś więcej? Szczerze mówiąc, raczej nie. Z Michałem wyszliśmy parę razy na papieroska. Sam właściwie nie palę, ale to dobry moment, żeby chwilę pogadać o technice kuli czy samochodach. Pisząc ten wstęp, zastanawiałem się, co mógłbym powiedzieć o każdym z nich. Cała szóstka

to olimpijczycy, medaliści, bohaterowie sportowych aren. Tyle że to wiedzą wszyscy. O wynikach sportowych i poszczególnych startach można by pewnie zapisać wiele stron. O emocjach, które dzięki nim przeżyłem, również. Ale poza sportową stroną ich życia niewiele więcej wiem. Może poza sportem nic w ich życiu nie istnieje? Będąc młodym zawodnikiem, właśnie tak myślałem – że sport to wszystko i aby odnieść sukces, należy wszystko temu podporządkować. Pewnie sporo w tym prawdy, jednak każdy z nas jest synem, córką, później ojcem, mamą. Każdy ma bliskich czy przyjaciół. Każdy ulega pokusom i w końcu każdy ma rachunki do zapłacenia. Proza życia. Nawet najwięksi twardziele mają zatem swoje słabości czy tajemnice.

Podobno w sporcie, tak jak w życiu, trzeba mieć szczęście, i trudno się z tym nie zgodzić. Choć największe szczęścia mają ci, którzy na co dzień nie okazują słabości, którzy potrafią podźwignąć się z porażki, którzy wciąż i wciąż pozostają optymistami i pomimo długich ulewnych deszczy każdego ranka czekają na słońce. Bo to może nie szczęście w życiu trzeba mieć, lecz upór, który sprawia, że w końcu się uda. I tak na koniec, jakbym miał coś powiedzieć o każdym z bohaterów. Są tak uparci, że każdy osioł w okolicy im tego uporu szczerze zazdrości.

OD AUTORA

Lekkoatletyka to był dla mnie obcy świat. W telewizji chętnie obejrzę, na stadionie z przyjemnością podopinkuję, historię i sukcesy docenię, ale ludzi nie znam – tak to przez lata wyglądało. Życiorysy wielu polskich gwiazd znałem jedynie pobieżnie. Wiedziałem, że Ania Kielbańska jest chora, a Joasi Fiodorow umarł tata. Kojarzyłem, że Paweł Wojciechowski miał problemy z nadwagą i plecami, a Ewę Swobodę hejtowali w internecie za tatuaże. Piotr Lisek był dla mnie wiecznie uśmiechniętym gościem z muskulaturą Sylvestra Stallone’a, a Michał Haratyk mrukiem-gejmerem. Dziś, po tych kilku spotkaniach, mogę o nich powiedzieć znacznie więcej. Poznałem ludzi zwyczajnych i niezwykłych zarazem. Z jednej strony herosów i bohaterów sportowych aren, z drugiej normalnych ludzi, którzy mają do zrobienia zakupy, do opłacenia raty, którzy boją się o własne zdrowie, miewają wzloty i upadki, kryzysy i chwile zwątpienia, a osiągnęte sukcesy okupują ogromnym wysiłkiem.

We wszystkich historiach pojawia się ból. Ten fizyczny, związany z wyczerpaniem organizmu, przesuwaniem granic, katorgami przeżywanymi na treningach, obciążeniami i liczbą powtórzeń poszczególnych ćwiczeń, przebiegniętych kilometrów, wykonanych skoków, podniesionych ciężarów. To ten ból odbiera ciało ochotę do czegokolwiek. Do jedzenia, picia, spotkań z przyjaciółmi i rodziną, celebrowania sukcesów czy nawet do pójścia do toalety. Ale boli coś jeszcze. Świadomość porażki, straconej szansy, oddalającego się celu. Wielomiesięczna rozłąka z bliskimi, wyrzeczenia, ograniczenia i treningowy reżim. Zmaganie się z tym, co muszą, a co mogą jeszcze zrobić. Nie zdroszczę im tego.

Nie było łatwo się do nich zbliżyć. Po pierwsze, bo wciąż są w rozjazdach – raz Europa, raz Ameryka czy Afryka, a po drugie, bo przecież trudno jest zaufać ot tak komuś z zewnątrz, kompletnie obcej osobie. A jednak mi zaufali i na ile mogli, otworzyli się, by opowiedzieć swoją historię. Zdarzyły się w tych opowieściach momenty przykre, nawet bardzo. Pojawiły się łzy, chwile milczenia i wątpliwości, czy naprawdę warto rozdrapywać stare rany. Uważam, że warto. Rozmowa tylko wtedy ma sens, kiedy jest szczerą, czasem nawet boleśnie.

Z perspektywy długości ich sportowej kariery nasze spotkania trwały ułamek sekundy. Moi bohaterowie zatrzymali się na moment, podzielili się tym, co czują, i wspominali dawne lub całkiem nieodległe sukcesy, by po chwili znów rzucić się w wir mityngów, rekordów czy rywalizacji. Ich mistrzowska karta nie jest jeszcze zapisana do końca. Oni wszyscy bez wyjątku chcą więcej. Dlatego siłą rzeczy ich historie nie są historiami skończonymi. Przy każdej można dopisać „ciąg dalszy nastąpi”.

Książka miała zostać wydana w maju lub czerwcu 2020 roku, czyli przed igrzyskami olimpijskimi w Tokio. Nasze plany pokrzyżowała pandemia covidu, projekt został zawieszony, a potem, na szczęście i ku mojej wielkiej radości, wznowiony. Z tego powodu niemal każdy rozdział składa się z dwóch części. Pierwszej, która stanowi zapis rozmowy przeprowadzonej przed ogłoszeniem przeniesienia igrzysk w Tokio na 2021 rok, oraz drugiej, nagranej podczas pandemii, po szalonym, pełnym zawirowań i niepewności sezonie.

I dlatego bardzo dziękuję Wydawnictwu Otwartemu za cierpliwość i przekonanie, że warto czekać. Alkowi Dzięciołowskiemu dziękuję za nieocenioną pomoc. A wam, Aniu, Joasiu, Ewo, Pawle, Michale i Piotrze, wielkie dzięki za zaufanie. Powodzenia!

MAŁA MI

MÓWI O SOBIE JOANNA FIODOROW

Joasia jest spontaniczna i naturalna. Kiedy jest jej smutno, jest smutna. Kiedy ma ochotę śmiać się tak, by usłyszał ją świat – robi to. Niczego nie tłumii, niczego nie udaje. Jest w pełni świadoma tego, co potrafi, na co ją stać i co osiągnęła w rzucie młotem. Sukcesem, który ją nakręcił i przekonał, że może przenosić góry, było zdobycie srebrnego medalu na mistrzostwach świata w Dosze w 2019 roku. Wcześniej, gdy zajmowała trzecie miejsce na mistrzostwach Europy w Zurychu (2014) czy Berlinie (2018), cieszyła się, ale coś tę radość tłumilo. Teraz trenuje, startuje i rzuca z przyjemnością, a o igrzyskach w Tokio myśli z nadzieją. Medalu olimpijskiego zapragnęła całkiem niedawno, bo też całkiem niedawno uwierzyła w siebie. W końcu. W jej życiu dużo się wydarzyło, nie o wszystkim chciała mówić, ale to, co powiedziała, wbiło mnie w fotel. Poruszyła mnie jej szczerość i otwartość. Kiedy wracałem z Augustowa, gdzie mieszka, powtarzałem w myślach: „tylko takie rozmowy mają sens”.

Augustów, 23 września 2020

Białystok, 7 stycznia 2021

Masz bardzo fajne sąsiedztwo. Augustowscy ortopedzi.

W sam raz dla mnie, biorąc pod uwagę moje problemy z kolanami. Tak naprawdę mieszkam tutaj od 2007 roku. Wtedy jeszcze tych ortopedów nie było, ale pogotowie już tak. Nie było bloków dookoła. Dopiero od jakichś trzech lat wszystko się tu rozkręca. Któregoś razu przyjechałam i zobaczyłam nowy budynek. Zaczęłam się zastanawiać, skąd się tu wziął. Jestem w domu gościem. Po szesnastu latach w końcu się przeprowadziłam. Po co wynajmować mieszkanie w Białymstoku, skoro jestem tam pięć, sześć dni w miesiącu? Płacenie komuś za przechowywanie rzeczy jest bez sensu. Od siebie, czyli z Augustowa, do Białegostoku jadę godzinę dziesięć, godzinę piętnaście, więc dotarcie na trening nie jest problemem. Ale teraz nie jeżdżę, bo mam wakacje. Jak każdy pracujący Polak.

Widząc kogoś w białym kitlu, od razu myślisz o swoich bolących kolanach?

Nie. Gdybym tak do tego podchodziła, wszystko by mnie bolało przez cały czas. Ale kiedy tu przyjeżdżam i widzę tablicę z napisem „Ortopedzi”, przypominam sobie, że pięć miesięcy temu, w kwietniu, miałam operację. Ale było, minęło i już tego nie będzie. Tak do tego podchodzę.

Ale szwankują oba.

Tak. Lewe było już w takim stanie, że nie mogłam trenować. Jak coś boli, to niekoniecznie trening jest satysfakcjonujący i samemu nie jest się w stu procentach zaangażowanym. To jest, jak ja to mówię, chamski ból,

który po prostu przeszkadza. Nie składa mnie tak, że nic nie mogę robić, ale drażni jak wbijana igielka. Drażni i drażni, aż w końcu wybucham i mam dość. W momencie gdy zostały odwołane igrzyska, powiedziałam sobie: „kładę się na stół i niech to naprawią”. A potem tego bardzo żałowałam.

Dlaczego?

Jestem człowiekiem, który robi wszystko. Skaczę, biegam, wyglupiam się, rzucam młotem, a w pewnym momencie musiałam od nowa uczyć się chodzić. Może to trwało tylko chwilę (osiem tygodni), ale dla mnie było poważnym problemem. Nie potrafię usiedzieć w domu dwóch, trzech dni. Tymczasem dali mi ortezę i kule, a ja się zastanawiałam, co mam z nimi zrobić. Na początku byłam przerażona, później naturalnie się przyzwyczaiłam. Stawiałam ostrożnie pierwsze samodzielne kroki i nie dowierzałam, że z wielkiej sprawności fizycznej mogę zejść do zera.

Co trzeba było zrobić?

Plastykę chrząstki. Oglądałam zabieg na monitorze, dostałam „seteczkę” – oczywiście mam na myśli głupiego jasia – i było mi wszystko jedno. Wyczyścili całą chrząstkę naokoło dziury, która tam powstała, nakłuli kość, żeby pokazały się zarówno szpik, jak i krew, i przykleili specjalną błonę, która ma imitować chrząstkę. Wszystko artroskopowo, choć jeden lekarz chciał otworzyć mi kolano. Oczywiście się nie zgodziłam, bo wiedziałam, że straciłabym co najmniej rok. Pojechałam do drugiego, który uznał, że otwieranie nie jest konieczne. Teraz już chodzę, tylko muszę zacząć trenować, rehabilitować się

i ćwiczyc, poniewaz lewa nogę mam mniejszą. Muszę odbudować mięsień czworogłowy.

Skąd problemy z kolanami? Czy to ma związek z tym, co robisz, czy to kwestia DNA?

Po części to genetyka, bo i babcia, i ciocia miały problemy z kolanami. Ale obie zaczęły narzekać na te dolegliwości po sześćdziesiątce, czy nawet siedemdziesiątce, a u mnie zaczęło się to w wieku trzydziestu lat. Na pewno przyspieszyłam ten proces treningami. Mój trening to nie siedzenie i plotkowanie, a potem rzucanie. Ja przenoszę tony na siłowni i oddaję setki tysięcy rzutów rocznie. Genetyka zrobiła swoje, ale to trening był winowajcą. Z drugim kolanem jest trochę lepiej. Ostrzykujemy je standardowo, bo mam w nim problemy z mazią stawową. Muszę zadbać o smarowanie. Kiedy to robię, kłopot znika.

Na własnej skórze poznałaś, co to zakrzepica. Co się stało?

2013 rok. Zakrzepica żył głębokich. Było bardzo poważnie. Całą żyłę podkolanowo-udową miałam załatwioną skrzepem.

Przecież to grozi śmiercią.

Gdybym pojechała na obóz, prawdopodobnie podzieliłabym los świętej pamięci Kamili Skolimowskiej.

Jak to wykryłaś?

Miałam rozwarstwienie ścięgna Achillesa i naderwany mięsień brzuchaty łydki. Nie pamiętam, gdzie to się stało. Wystartowaliśmy w zimowym pucharze Europy, ale ten achilles cały czas bardzo mnie bolał. Jeszcze tydzień

i wylądowałabym na stole operacyjnym. Podali mi czynnik wzrostu, a noga została unieruchomiona. Nie dostałam jedynie leków przeciwzakrzepowych. Mniej więcej po sześciu–ośmiu tygodniach Marcin Łebski zauważył, że dzieje się coś złego. Miałam odbite skarpetki na łydce i noga była spuchnięta. Poszliśmy na USG i okazało się, że żyłę podkolanową mam całą zapchaną, a część udową do połowy. Natychmiast dostałam lek przeciwzakrzepowy i wysłano mnie do szpitala, do lekarza naczyniowca. Dostałam tabletki i surowe przykazanie, żeby się przez dwa tygodnie jak najmniej ruszać. Mogłam chodzić do łazienki albo do kuchni, ale generalnie miałam leżeć. Patrzyłam na tego lekarza i myślałam: „pan sobie chyba ze mnie jaja robisz?”. Kiedy zdałam sobie sprawę, że te zakrzepy w każdej chwili mogły mi się urwać, bo tam jest miazga, to całe życie stanęło mi przed oczami. Nawet Kama mi się pokazała. Wszystko skończyło się szczęśliwie, ale do dziś noszę specjalną pończochę i biorę leki przeciwzakrzepowe.

Czy oprócz kolan coś jeszcze ci dokuca?

Wszystko. Trening zawodowy nie ma nic wspólnego z normalną aktywnością sportową, która jest ważna, potrzebna i korzystna dla zdrowia. Niestety, my przekraczamy pewne granice. Ja swoją przekraczam kilka razy w roku, bo jeśli chcę być w topie, to innej drogi nie ma. Nie można stać w miejscu i czekać. Trzeba przesuwać swoje granice wytrzymałości, granice na siłowni, granice w rzucaniu. Trzeba próbować nowych rozwiązań treningowych, bo niestety świat idzie do przodu. W damskim młocie można to zresztą zauważyć. W pewnym momencie dziewczyny tak wystrzeliły, że to jest mistrzostwo świata. Ja na to potrzebowałam paru lat, a one raptem po trzech

są w top dziesięć. To najlepszy dowód, że coś się zmienia i idzie do przodu.

Może to kwestia farmakologii?

Nie mam pojęcia. Nigdy nikogo nie złapałam, więc nie mogę tak mówić. Ale dziewczyny ze Stanów Zjednoczonych to baby stworzone do roboty. Śmieję się, bo one u siebie zawsze dobrze rzucają, a kiedy przyjeżdżają do Europy czy na główne imprezy, to już tego nie robią. Jedna się wylamała, DeAnna [Price – JK], i została mistrzynią świata. Jedna na piętnaście. Widzisz, konkurencja nie śpi. Gonią mnie młode dziewczyny za granicą i w Polsce, trzeba więc te granice przesuwać, i to mimo że dla świata sportu jestem już stara. Oczywiście, że są momenty, gdy wstaję z łóżka i pytam: „po co ja to robię?”. Boli mnie wszystko, znajomi są na wakacjach, bawią się na wesełach, zapraszają do siebie, a ja co? Trenuję albo jestem na zawodach. Odmawiam sobie tych przyjemności, żeby coś osiągnąć.

Igrzyska...

Co chcesz wiedzieć?

*Dlaczego przygotowania zawsze rozpoczynasz w górach?
Co one dają?*

Wydolność i pracę nad sobą. Przewyciężam tam swoje lęki i obawy. Mam czas na przemyślenia, bo nie idę jak inni – nie gadam i nie palę peta – tylko ledwo łapię oddech. Jeśli coś mówię, to do siebie. Po pierwsze, że straciłam rozum, bo pcham się na górę. Po drugie, że jak wejść, to będzie niesamowicie, a ja poczuję dumę. Kocham góry i jednocześnie ich nienawidzę. Kasprowy! Ja pierdołę.

Toczyłam się tam prawie cztery godziny. Nikomu nie polecam! Nikomu! Wychodziłam z nastawieniem, że będzie super, ale przy ostatnim podejściu, kiedy zobaczyłam szczyt i tę ścianę, byłam załamana. I nie mogłam zawrócić! No to szłam. Dziesięć metrów. Przystanek. I znowu dziesięć. I stop. Kiedy doszłam, ogarnęła mnie euforia, byłam najszcześniejsza na świecie, ale kiedy zjechałam kolejką i zobaczyłam, gdzie byłam, pomyślałam: „Kosmos! Jesteś nienormalna, że to zrobiłaś”. Wojtek [Nowicki, brązowy medalista z Rio de Janeiro w rzucie młotem – JK] uwielbia góry. Najchętniej pojechałby z małżonką do Zakopanego. A ja nie dowierzam. Bali, Malediwy, palmy i drinki to rozumiem, ale nie góry w wakacje!

Wspinanie się to taka zapowiedź tego, co cię czeka w Tokio.

Na Facebooku jest filmik, na którym wchodzę na Sarnią Skałę. Koleżanka woła do mnie: „dawaj, Fiedzia, już niedaleko, nie ma miękkiej gry, bo do igrzysk będzie ciągle pod górkę”. Taka jest prawda. Najciekawsze jest to, że każdy rok, który zaczynałam w górach, kończył się dla mnie dobrze. Przed Berlinem byliśmy w Zakopanem, przed Dohą w Karpaczu, a teraz znowu wylądowaliśmy w Zakopanem.

Jak się czujesz?

Rewelacyjnie. Rozpoczęłam sezon lepiej niż przez ostatnie cztery lata. Sprawdziliśmy to w Cetniewie, na ostatnim obozie przed świętami. Po dwudziestu pięciu rzutach wielobrotowych postanowiłam wykonać sześć już normalnie, z czterema obrotami. Zaskoczyłam siebie i trenerkę. Posłużyła mi przerwa związana z pandemią,

skorzystał na niej mój organizm. Trenuję wyczynowo od dziesięciu lat i nie zamierzam jeszcze kończyć. Ze sportem jestem związana jeszcze dłużej. Moje ciało odczuwa trudy treningu. Lubię to i potrzebuję tego, chwila wytchnienia była jednak konieczna. Ale stara Fiedzia wróciła. Jest wariatkowo. Jest fajnie.

Znalazłaś odpowiedź na pytanie, po co to robisz?

Tak. Robię to, by spełnić swoje marzenia i zrealizować się zawodowo. Bo kiedyś coś sobie zaplanowałam i chcę to osiągnąć. Po drodze do tego celu odhaczam wszystkie punkty.

Znam historię z listą rzeczy do wykonania.

Lista była i już się zamknęła. Teraz muszę stworzyć nową. Ta pierwsza powstała w 2009 roku. Zamknął ją medal mistrzostw świata w Dosze. Po drodze odhaczałam sobie kolejne punkty: chcę pojechać na igrzyska olimpijskie i znaleźć się w najlepszej dwunastce. Udało się. Chcę pojechać na mistrzostwa Europy i zdobyć medal. Udało się. Chcę pojechać na mistrzostwa świata i zdobyć medal. Udało się. Chcę rzucić siedemdziesiąt sześć metrów. Udało się. Kiedy tworzyłam tę listę, nie wierzyłam, że jestem w stanie zdobyć medal igrzysk olimpijskich. Dlatego teraz powstaje nowa lista do zrealizowania. Ta już nie będzie wyłącznie sportowa. Znajdą się na niej punkty związane zarówno ze sportem, jak i z normalnym życiem, czyli z czymś, co chciałabym osiągnąć jako zwyczajny człowiek. Napędza mnie spełnianie marzeń oraz świadomość, że od czterech lat się nie cofam, ale idę do przodu. Nie mam chwiejnych sezonów, czyli raz jest super, a za chwilę dno. Tak było. Niedawno zaczęło się fajnie układać pod to, co

miało wydarzyć się w 2020 roku. Igrzyska jednak przełożono. Bardzo mnie to znerwicowało. Ale lajf is brutal i musiałam to zaakceptować, więc przekładałam marzenia na kolejny rok. To, co robię, robię dla medalu olimpijskiego, ponieważ jest to moje największe marzenie od pierwszych igrzysk w Londynie. Nie chodzi o splendor, ale o to, by zapisać się na kartach historii polskiego sportu jako medalistka olimpijska.

Ależ to brzmi. Bardzo uroczyście.

Nie uroczyście! Chodzi mi o to, że gdzieś już się zapisałam w tej historii, bo medal mistrzostw Europy coś znaczy, a ten mistrzostw świata jeszcze więcej, ale to medal igrzysk olimpijskich jest najważniejszy. Mistrzem świata można zostać co dwa lata, a medalistą olimpijskim co cztery albo – jak w przypadku przełożonych igrzysk w Tokio – co pięć. Mamy piękną historię kobiecego rzutu młotem, z Kamilą Skolimowską czy wracającą po kontuzji Anitą Włodarczyk, a ja chciałabym być tym trzecim ogniwem. No i koniec! (*Joasia uderza ręką w stół*). Coś sobie zaplanowałam i to się musi dokonać. Medal byłby ukoronowaniem mojej ciężkiej pracy – tych wszystkich wyrzeczeń, wyjazdów i życia na walizkach. To byłaby kropka nad i. Doskonale rozumiem Piotra Małachowskiego, który swoją dość długą karierę chce skończyć na igrzyskach. W jego przypadku trudno będzie wywalczyć złoto i on o tym doskonale wie. Ale jak sobie coś postanowi, to dąży do tego za wszelką cenę. Ze mną jest podobnie. Do trzech razy sztuka. Raz byłam siódma (Londyn 2012), raz dziewiąta (Rio 2016). Musi być tak, jak sobie zaplanowałam. I tak będzie.

Powiedziałaś: „znerwicowało mnie to”, gdy pojawił się wątek przełożenia igrzysk w Tokio.

Tak, bo przygotowania szły rewelacyjnie, i to pomimo problemu z kolanem. Mogliśmy go zresztą wyciszyć, bo w Polsce są lekarze, którzy potrafią sobie poradzić z takimi urazami, nie otwierając kolana i nie robiąc operacji. Postawiłam wszystko na jedną kartę, licząc, że do igrzysk na pewno wytrzymam. Gdy w marcu podjęto decyzję o ich przełożeniu, zrobiliśmy sobie sprawdzian. W temperaturze dwóch stopni, poubierana na maksa, rzuciłam ponad siedemdziesiąt dwa metry. Bardzo dużo. O tej porze roku to rewelacyjny wynik. Gdy jest ciepło, dokłada się średnio dwa, trzy metry. Jeżeli takie wyniki – około siedemdziesięciu pięciu, siedemdziesięciu sześciu metrów – osiągałabym na obozie w marcu i kwietniu, to byłaby szansa na rewelacyjny wynik na igrzyskach olimpijskich w sezonie. Niestety, marzenia chuj strzelił, mówiąc dosadnie. Muszę poczekać kolejny rok na ich realizację.

Ze sportowego punktu widzenia byłaś w gazie.

Tak. Miało być zajebiście, a wyszło jak zawsze. Z perspektywy zawodnika, który przychodzi w listopadzie na trening, to pięć miesięcy – do marca – zapierdalania, codziennie, do ostatniej kropli potu. Po treningu myślę tylko o jednym – by położyć się do łóżka. Ale to niemożliwe. Po tym całym wysiłku fizjoterapeuta przychodzi z tekstem: „chodź, zrobimy jakieś ćwiczenia”. A ja mu na to: „chłopie, wymyśl jakieś umysłowe, bo ja nie mam siły ruszyć palcem”. Tak wygląda każdy dzień. Przygotowywałam się więc, było fajnie i nagle odwołano obóz. Pojechałam do Spały i po jednym dniu wróciłam do domu. Sportowcy zaczęli narzekać, że nie mają się gdzie przygotowywać.